OPIEKUN DOMOWY

Warszawa dnia 8 Marca 1865 roku.

Nr 10. | Cena w Warszawie 40 groszy miesięcznie. — Cena na prowincji na stacjach pocztowych 5 złotych kwartalnie. | Rok I.

PIOTR STEINKIELER.

Wielu z żyjących i pracujących zdrowo robotników młyna parowego na Solcu, wielu zdunów w fabryce kafli tamże istniejącéj, lub nawet nadwiślańskich mieszkańców Warszawy, pamięta bardzo wysokiego wzrostu mężczyznę o długich rękach i nogach, ale ożywionéj i łagodnéj twarzy. Chodził on piechotą po tamtejszych ulicach lub jeździł powozikiem, a zawsze prędko, jakby mu ciągle pilno było. Człowiek ten wybornie znał Solec, ulicę Czerniakowską, Nadwiśle, a tamtejsi mieszkańcy znali go dobrze jako swego chlebodawcę. Z rąk jego długich i niespokojnie poruszających się, nie datki dobroczynnne, nie jałmużna chwilowa, ale sypała się pożyteczna praca, stanowiąca źródło utrzymania dla mnogich rodzin rzemieślniczych i wyrobniczych.



Piotr Steinkieler.—(Rysował Jastrzębowski—wyciął na drzewie Stifi.)

Olbrzym ten nazywał się Piotr Steinkieler i był miljonowym bankierem, oraz przedsiębiercą rozlicznych przemysłowych interesów, które krajowi pożytek przyniosły. Pochodził z Krakowa, gdzie ojciec jego był kupcem. W dwudziestym szóstym roku życia osierocony, objął po ojcu handel wraz ze znacznym majątkiem; lecz Kraków bardzo na ówczas obumarły, dla przedsiębierczego umysłu Piotra, zdawał się za ciasnem polem; przeniósł się więc do Warszawy w 1826 roku, gdzie założył dom handlowy i rozpoczął swoje czynności. Obdarzony umysłem i charakterem tęgim, a przytem zapalony żądzą służenia krajowi, mając świeży przykład z Ministra Skarbu Lubeckiego, rzucił się całą siłą w przedsiębierstwa przemysłowe, widząc w nich dzwignię rzeczywistego bogactwa i pomyślności. W ciągu całego swego życia, pełnego pracy i czynów, nie wyrzekł się nigdy swojéj przewodniczéj myśli, ciągle popierając przemysł i stosując nowe pomysły i wynalazki. Steinkieler w licznych swych podróżach po zachodniéj Europie, wszędzie badał przemysłowe przedsięwzięcia, nowe wynalazki i ulepszenia. Była to prawdziwa przyjemność wejść do jego czasowego mieszkania w Londynie, które tam będąc zajmował. Na biórku tysiące planów, anszlagów, modeli; w pokoju machiny fabryczne i rolnicze, ciekawe minerały, cegły, kafle i t. p. Obok tego rój ludzi specjalnych, techników, rzemieślników, robotników, z którymi się umawiał, godził lub zawierał kontrakty. Bo niczego tak bardzo Steinkieler nie zazdrościł obcym, jak potęgi ich cywilizacji, postępów przemysłu i bogactwa. Gorąca jego dusza pragnęła, jakby cudem przeszczepić to na własną ziemię. Gdy więc widział między swemi obojętność, lenistwo zastarzałe i nieuctwo, pragnął sam pracować za tysiące. Za każdym powrotem do kraju, przywoził on mnóstwo projektów najświetniejszych, o których opowiadał z niezmiernym zapałem i do wykonania ich brał się natychmiast.

Zobaczmy pokrótce, co zrobił i czem się współziomkom przysłużył, iż zasługuje imię jego na trwałą wdzięczność i pamięć współziomków, tak we dworku, jak i w warsztatowéj izbie.

Fabrykant wtedy jest bogaty, kiedy może swoje produkty łatwo sprzedać, a kupiec wtedy je kupuje,

gdy może łatwo i bez trudów wywieść gdzie potrzeba. Więc pomyślność przemysłu i handlu zależy od dróg udoskonalonych. Steinkieler wiedział o tem jak również wiedział, że kraj nasz nie posiada dróg transportowych łatwych. Pragnął więc na sposób angielski przeciągnąć przez kraj wielką drogę żelazną. W tym celu zawiązał Towarzystwo i pierwszy rozpoczął budowę kolei Warszawsko-Wiedeńskiéj, przy któréj znowu mnóstwo ludzi znalazło zarobek. Zawistni przeszkodzili mu jednak dokończyć tego dzieła, które dopiero rząd wziął wswoje ręcei do skutku doprowadził. Stracił na tem przedsiębierstwie Steinkieler parę miljonów złotych... ale należy mu się słusznie zaszczyt, iż pierwszy w kraju ocenił wielkie korzyści kolei żelaznych.

Wiadomo wszystkim, że sól stanowi pierwszą potrzebę życia, tak dla bogacza, jak dla najuboższego wieśniaka; lecz tego ostatniego bardzo obchodzi cena soli, bo dla niego każdy oszczędzony grosz wiele znaczy. Do przybycia Steinkielera do Warszawy, sól była droga, bo skarb Królestwa, który posiada monopol sprzedaży takowéj, płacił za centnar soli po rs: 1 kop: 32 Rządowi austryjackiemu. Steinkieler zbadawszy ten interes, zaczął sprowadzać sól z Anglji, czem o złotówkę obniżył cenę na centnarze. Widząc to Rząd austryjacki, przy zawieraniu nowego kontraktu na dostawę soli, naznaczył już tylko 47 kop. za centnar, co pozwoliło obniżyć cenę soli dla biednego ludu. Oszczędność zyskana tym sposobem wynosi miljony! Lecz niedość jest oszczędzać, trzeba nadto i samym pracować, aby za własne produkta od innych dostać pieniędzy lub innych nam potrzebnych przedmiotów. Najlepiej zaś wyrabiać takie rzeczy, które dadzą się otrzymać z płodów surowych, jakiemi nas natura obdarzyła. To pewnik niezachwiany. Zrozumiał go Steinkieler i silnie zaczął popierać fabrykację cynku, który się wydobywa z galmanu. Galman jest minerałem, jaki się znajduje tylko u nas w kopalniach Krakowskich i na Szląsku Pruskim, oraz nieco w Belgji. Steinkieler więc zbadał dobywanie ulepszone cynku; namawiał do zakładania hut, a nawet sam założył walcownie cynku w Londynie na to, aby produkt otrzymany w kraju sprowadzić do Anglji, przewalcować i sprzedać. Początkowo nie udawała się ta spekulacja, jak wiele przedsiewzięć Steinkielera, ale później hutnictwo cynkowe zakwitło, dając niemałe zyski krajowi i zarobek tysiącom rąk pracowitych.

Działalność Steinkielera, głównie skupiła się w Warszawie i Żarkach, małem miasteczku w Krakowskiem, które wraz z dobrami na własność swoją nabył. W stolicy naszéj w 1839 r. wziął na siebie młyn parowy na Solcu, i rozlicznemi wynalazkami ulepszać go począł. Zbudował spichrze na 130,000 korcy zboża, przez co zabezpieczył Warszawę od braku ziarna, w razie nieregularnego dowozu. Taniem i dobrem mlewem, wpłynął na obniżenie cen mąki, a przy tym młynie założona później piekarnia, sprzedaje chleb tańszy o grosz na bochenku. Nie poprzestał jednak na tem, ale widząc nadużycia w handlu olejem i trudności z jakiemi walczyć muszą stolarze przy nabywaniu drzewa fornirowego, założył przy młynie wielką olearnię i tartak do cięcia drzewa zagranicznego i krajowego. Lecz i tego mało. Piece w mieszkaniach naszych były potworne. Steinkieler założył fabrykę kafli tanich i pięknych. Po drogach jeździliśmy najokropniejszemi powozami publicznemi. — Steinkieler założył fabrykę powozów i dostarczał takowych poczcie, lub wysyłał je na własne ryzyko. Powozy te upowszechniły się i przybrały nazwę steinkielerek, która niechaj na wieki zostanie, świadcząc o zabiegliwości i dobrych pomysłach twórcy. Fabryki te mieściły się na Solcu. Ale Solec zalewany był często falami Wisły, przez co niszczał dobytek jego robotników, biednych mieszkańców. Wyjednał więc Steinkieler fundusz na obwałowanie Wisły w tej stronie, a dziś niejeden mieszkaniec Solca lub ulicy Czerniakowskiéj, jeżeli śpi spokojnie, zawdzięcza to znakomitemu przemysłowcowi.

A teraz rzućmy okiem na Żarki, które nabywszy zastał w nędzy i opustoszeniu. Lecz pod jego dłonią, miasteczko wnet stało się siedzibą przemysłu. Założył wielką fabrykę machin i narzędzi rolniczych, w któréj to wszystko, co nowe, co postępowe wyrabiał. Obok w Jaworzniku pod miastem, wzniósł browar wyrabiający wyborne piwo, po dziś dzień zwane żareckiem. Gospodarstwo na folwarkach prowadził wzorowe, dając tem poznać, iż przemysł w naszym kraju ma się wspierać na dobrem gospodarstwie wiejskiem, i na drodze postępu musi iść z nim w parze. Tym sposobem tak podniósł Żarki, że wzrosły w ludność i zamożność do tego stopnia, iż dochody miejskie o sześć razy się powiększyły.

Nie skończylibyśmy prędko, gdybyśmy pragnęli wyliczyć wszystkie pożyteczne przedsięwzięcia, które Steinkieler wprowadził w życie lub przygotował. Dla innych ludzi dośćby jednego było, aby sobie zarobić na dobre imię i wdzięczność ogółu. On tysiącom czynił dobrze, tysiącom dawał pracę, chętniéj krajowcom niż obcym, których jednak musiał sprowadzać, aby naszych nauczyli. Czy jednak zdziaławszy tyle dobrego, był ten człowiek szczęśliwy? Czy doszedł do wysokich dostojeństw, zaszczytów lub majątku? Nie, wcale nie! Prześladowany od zawistnych, zawodzony przez fałszywych przyjaciół, którzy jak żarłoczne kruki rwali jego mienie, widział własnemi oczyma upadek swego wpływu, niepowodzenia przedsiewzięć i ruinę majątkową. W roku 1853 wierzyciele, a między niemi najgłówniéj Bank polski, zabrali wszystko.

Steinkieler usunął się do Krakowa i w rok życie w zmartwieniu i goryczy zakończył. Dla nas, dla wielkiéj masy rzemieślników i robotników—dla ludu pracował—z jego trudów, z jego pomysłów wielu żyje i korzysta— niech więc jego pamięć między nami żyje. Cześć zacnemu żywotowi, a spokój duszy!

NIE WSZYSTKO ZŁOTO CO SIĘ ŚWIECI.

PRZYSŁOWIE DRAMATYCZNE W DWÓCH ODSŁONACH.

(Scena przedstawia warsztat tokarski — Wojtek z toczydłem w ręku — Marcinowa sprząta).

OSOBY:

Marcinowa.
Kasia, jéj córka.
Antek, } czeladnicy w warsztacie.
Wojtek, }

Rzecz dzieje się w małem miasteczku.

Odsłona I.

SCENA 1.

Wojtek i Marcinowa.

Wojtek. Et pani majstrowa, dajcie se pokój z tym wzdychaniem! — Czegóż wam to brakuje, warsztat dobrze idzie, wyście zdrowi, a panna Kasia to dalibóg... aż się serce śmieje!

Marcinowa. Co ty tam wiesz mój Wojtusiu, dobry z ciebie chłopiec, ale nie widzisz daleko.

Wojtek. A pocóż mam patrzeć daleko, abo to panna Kasia?.. (zatykając sobie usta)... Niechno pani majstrowa popatrzy na mnie, przecieżem zdrów i łepski czeladnik, a na ochocie do pracy, to mi także nie zbywa.

Marcinowa. Oj pracy, pracy, żeby tylko wszyscy!..

Wojtek. Aha! teraz rozumiem (skrobiąc się w głowę). To to pewnie o Antka chodzi. Ten łażęga, ten wielki pan, co cały dzień nic nie robi, ino myśli o bogactwach, a włóczy się za kupcowną.

Marcinowa. Nie tak głośno, bo mi jeszcze dziewucha usłyszy.

Wojtek. (Gniewnie) O to chodzi — niech słyszy. Niech wie, co wart ten panicz, który wszystkim w serce gdyby fura zajechał.

Marcinowa. Wojtek, ty go czegoś nie lubisz?

Wojtek. A za cóżbym go lubił? Od czasu jak mu państwo w łeb wlazło, ani z człowiekiem pogada, ani się rozśmieje, a jeszcze warsztatu nie pilnuje i was pani majstrowa zaniedbuje.

Marcinowa. Gdyby tylko mnie, ale tu więcéj o Kasię chodzi.

Wojtek. Aha!—otwierają mi się oczy. To to dla tego panna Kasia także wzdycha! A ja myślał, że ona dla tego wzdycha, że wy wzdychacie—a to wy wzdychacie dla tego, że ona wzdycha, a ona wzdycha dla tego, że Antek wzdycha? Aha!

Marcinowa. Tylko mi nic o tem nie gadaj dziewusze. Jak Bóg da, tak będzie, a ja mam jeszcze nadzieję, że się Antek opamięta, boć to przecie pracowity był chłopak.

Wojtek. Był, był—ale już nie będzie. Ta kupcówna zerka na niego niemiłosiernie, to on se też myśli, że z tego będzie żona.

Marcinowa. Zkądże ty o tem wiesz?

Wojtek. Przecie mi się sam kiedyś głuptak chwalił—(słychać za sceną wołanie Kasi—Marcinowa wstaje).

Marcinowa. Sza teraz, dziewucha idzie (wychodzi).

SCENA 2.

Wojtek (sam).

Wojtek. Mój Boże!—on ich nie chce, a one za nim przepadają! Gdybym też i ja ich nie chciał, to możeby także za mną tęskniły! Biedne Kasiątko!—takie cacane jabłuszko, jabym się zaraz z nią ożenił i byłaby szczęśliwą, i jabym był szczęśliwy, nie!—to ona na złość musi się w tym Antku kochać. Ale ja mu kurtę skroję! Abo mi się zaraz z dziewuchą pobierze, albo ja sam to zrobię za niego. Słyszę kroki—dobrze, że akurat sam idzie.

SCENA 3.

Wojtek i **Antoni.**

(Antoni z śmieszną przesadą ubrany, wchodzi zwolna zachmurzony i nieuważając Wojtka) — Mówi do siebie:

Antoni. Nie spojrzała na mnie ani razu — hm, co to ma znaczyć; wczoraj było tego trzy razy!

(Wojtek przypatruje mu się jakiś czas uważnie, potem wybucha śmiechem).

(Antek z pogardą rzuca nań okiem, zdejmuje kapelusz, i zamyślony chodzi po izbie).

Wojtek. Jakże ty śmiesznie Antku w tem ubraniu wyglądasz. Żeby cię teraz panna Kasia ujrzała, toby się już pewnie na ciebie nigdy nie spojrzała.

Antoni (z pod nosa). Niech nie spojrzy nigdy.

Wojtek. Tak? — a pierwéj toś inaczéj skakał. Pierwéj ci smakował warsztat i majstrzanka, ale od czasu, jak ci się przywidziała kupcówna...

Antoni (pogardliwie).— *przywidziała!*

Wojtek. Cóż? może myślisz, że co więcéj, że z tego co będzie? Może myślisz, że bogaty kupiec odda ładną córkę za obdartego czeladnika?!

Antoni (obrażony). Mówże ciszéj!

Wojtek. Po co mam mówić ciszéj! Mogę mówić głośno, bo to wstyd, że rzemieślnik, zamiast uczciwie pracować, pnie się gdzieś wyżéj; bo to wstyd, że ty, coś wprzódy był uczciwy i skromny, dziśeś nicpoń i głupi...

Antoni. Mówże ciszéj.

Wojtek. Nie będę mówił ciszéj, bo mi to wolno, boś durzył pannę Kasię, a teraz ją ciskasz, jak cytrynę. A ja milczałem wprzódy, chociem ją ogniście kochał, bom se myślał, że będzie szczęśliwa, ale teraz nie będę milczał, boś ty teraz stracił do niéj prawo, bo teraz wolno mi ją kochać, i będę ją kochał, a tobie więcéj niepozwolę, rozumiesz?

Antoni (obojętnie). Kochaj ją sobie do syta—ja mam inne cele.

Wojtek. Inne cele! (z szyderstwem) Kiedyż ślub państwa dobrodziejstwa? Za 100 lat czy za 200?

Antoni (rozkazująco). Jeść nie ma co?

Wojtek (kpiąco). Czegóż pan dobrodziéj pozwoli, czy leguminy z migdałem, czy migdału z leguminą. Wszystko było, ale wystygło. Może pan dobrodziéj biwsztyku pozwoli?—szkoda, myszy zjadły, ale może polewki z ryżem?

Antoni (nadęcie). Oj biedaku, biedaku!

Wojtek (zaperzony przyskakuje, potem się hamując, powtarza:) Oj biedaku, biedaku! Będziesz ty niedługo inaczéj śpiewał, ale już po niewczasie—dzisiaj zaś pamiętaj, że z panną Kasią ja się żenię.

(Kasia wchodzi).

SCENA 4.

Kasia (wchodząc). Panie Wojciechu — mamunia was potrzebuje.

Wojtek. Idę, idę śliczna panienko! (odchodząc mówi półgłosem). Majstrowa to mnie zawsze tak wypycha; żeby ich samych zostawiać—no ale to ostatni raz.

(wychodzi).

SCENA 5.

(Antoni czyści sobie rękaw surduta—Kasia zwolna, nieśmiało na przód sceny podchodzi).

Antoni i **Kasia.**

Kasia. Dzień dobry panie Antoni!

Antoni (obojętnie). Dzień dobry, dzień dobry.

Kasia. Cóż to pan Antoni taki smutny?

Antoni. Ja wcale nie smutny—owszem wesoły, mam nawet z czego—tylkom głodny.

Kasia. Głodny? A to ja zaraz przyniosę kawałek pieczeni.

Antoni (nadskakując niezgrabnie). Jeżeli panna Katarzyna tyle będzie dla mnie *sukcessyjną!*

Kasia. Cóż to znaczy *sukcessyjną?*

Antoni (z uśmiechem). To się tak mówi... w świecie... wyższym.

(Kasia kiwając głową wybiega) Antoni patrząc się za nią: Dobra dziewczyna, dalibóg—ale cóż prostak, straszny prostak! I gdyby nie panna Cwaiundcwancig, co sobie mnie upodobała,—możebym się i z Kasieczką ożenił. Antosiu—słuchaj no—pogadaj ze sobą szczerze. Kocha cię kupcówna czy nie?—Hm... kocha, kocha... skoro oczami ciągnie, to i kocha... Ty ją kochasz?—Nie wiem.—Kasię kochasz? Lubię ją—ale ona nie ma grosza, a bez pieniędzy nic na tym świecie dzisiaj. Dzisiaj?—i dawniéj. (ze złością)

Do kroćset tysięcy, człowiek pracuje od dziecka dzień i noc—i co ma z tego? Kawał suchego chleba na wieczór, i wieczną biedę, a jak zachoruje, to nie ma za co kupić lekarstwa, a jak umrze, to nie ma za co kupić trumny. Nie chcę pracować, nie głupim pracować,—to co mam z téj nędznéj pracy, będę miał i wtedy, gdy nic nie będę robił. (zamyślony) Pracowałem jak wół 16 lat, cóż mam z tego? Innych widzę tysiące bawiących się całe życie, jeżdżących karetami. Więc to my pracujący, *dla nich* stworzeni? Głupie urządzenie! Ja to poprawię—skoro mnie urodzenie wepchnęło w nędzny warsztat, to ja wolą silną—o tak! silną—wepchnę się w złocone pokoje. (Siada gwiżdżąc—po chwilce) Czegóż ta dziewczyna nie wraca. Jak będę wielkim panem, wynagrodzę majstrowéj i dziewusze za ich dobre serce. Bo oni mają dobre serce—i ja także miałem je kiedyś,—dawniéj;—teraz mi nic po sercu, wolałbym mieć na jego miejscu... dukata (Kasia wraca)

Kasia. Śliczny kawałek zrazówki, niech pan Antoni skosztuje.

Antoni. O ja nie będę kosztował—ja zjem całą.

(Kasia ustawia talerze—Antoni siada do jedzenia).

Antoni. Kasiuniu tyś zawsze dla mnie dobra?—chociażja może i nie bardzo na to zasłużył.

Kasia (z radością). Jak to dobrze, że pan Antoni sam to uznajesz, to już pierwszy stopień do poprawy!

Antoni (na stronie). Głupio—rozczulam się. (głośno) To jest... ja niby zawsze staram się zasługiwać na dobroć ludzką, ino że...

Kasia. Ino, że wostatnich czasach pan Antoni nie pracował, i bałamucił się gdzieś tam po kątach...



...Jakże ty śmiesznie Antku w tem ubraniu wyglądasz,—(str .75, szp. 1).
(Rysował Rudzki. — Wyciął na drzewie Regulski).

Antoni (przestając jeść). No, no — „bałamucił" niekoniecznie, i nie „po kątach." Jeżeli mam wyższe cele, to mam słusznie, bo panna Cwaiundcwancig...

Kasia (z żalem). Jakto? więc to prawda?

Antoni (na stronie). Głupia gęba—wygadałem się. (głośno) Panno Katarzyno, chcę tylko powiedzieć, że...

Kasia (z płaczem). Nie, już nic nie wierzę, skoroś pan niewierny, skoro pan zwodzisz wszystkie dziewczęta,—czy się to godzi?—i mnie to pan śmiesz mówić!..

Antoni (uspokajając). No, no—jeszcze nic pewnego. (nagle) Ale zresztą na co mam pannę Katarzynę łudzić—chcę mówić szczerze i uczciwie. Ja nie mogę żyć w takiéj biedzie, ja potrzebuję pieniędzy, kupcówna ma je, ja ich niemam, kupcówna chce mnie...

Kasia. Czy to już pewnie?

Antoni (z dumą). Spodziewam się, że tak jakby pewnie.

(Kasia wybucha na nowo płaczem).

Antoni. Nie płacz panno Katarzyno, bo ja cię zawsze kocham, ale ja potrzebuję pieniędzy, ja dłużéj w takiéj nędzy żyć nie mogę...

Kasia. A jakżeś dotąd żył?

Antoni. Żyłem też jak pies—nagle przejrzałem; wściekłość mnie porwała, że za pracę od świtu do nocy nie ma się nic, zgoła nic.

Kasia. O ja biedna, cóż się ze mną stanie!

Antoni. Nie płacz Kasiu, ja o was będę pamiętał, jak zostanę bogaty.

Kasia (z oburzeniem). Schowaj pan sobie pieniądze dla takich, jak ty—brzydzę się tobą, i wstydzę, żem kiedy kochać mogła!

Antoni. Ależ panno Kata... (słychać bijącą godzinę—Antoni przerywając liczy) Oh dla Boga, czwarta godzina, ona już jest w ogrodzie. Bywajcie zdrowi.

SCENA 6
Kasia sama, potem **Wojtek.**

Kasia. Znowu pobiegł za tą szkaradną kupcówną! O mój Boże, mój Boże, czemuż ja też taka uboga, że nie mogę go uszczęśliwić. Nie pragnęłam nigdy dla siebie majątków, nie wiedziałam na coby mi się przydały; miałam chleba kawałek, i matkę widziałam spokojną i jego pracowitego, a on taki był miły, tak mi się przypochlebiał, tak serdecznie kochał, że i ja pokochałam go całą duszą, a teraz!.. (głośno płacze—Wojtek staje we drzwiach).

Wojtek. Otóż i mamy lament! Od czasu jak ten próżniak zaczął brewerje wyrabiać, same tylko jęki w domu: rano matka wzdycha, po południu córka płacze. Tfy! do stu kaduków, panno Kasiu, cóż was znów za serce chwyta?

(Kasia milczy).

Wojtek (gorzko). Aha, przedemną to nawet nie chcecie się wyżalić, bo Wojtek głupi, Wojtek brzydki, Wojtek nie zastąpi smukłego Antka. Dobrze wam, macie teraz Antka!

Kasia. Wstydziłbyś się panie Wojciechu urągać z łez bliźniego.

Wojtek (wzruszony—biorąc ją za rękę). Panno Katarzyno, dalibóg nie urągam, owszem żal mi was serdecznie, boć gdyby nie ten Antek, to ja was tak kocham, iżbym chciał was chronić od wszego złego całe życie, ale też i dla tego markotno mi, żeście się tak za nim rozszaleli, iż się wam trudno opamiętać. Ot, na waszem miejscu, plunąłbym na dawną miłość, a poszukał nowéj...

Kasia. Może waszéj?

Wojtek. A choćby i mojéj? Czy ja to z pozłoty, czy ja to nie pracuję uczciwie, czy ja to nie z gliny, jak i on, a że was kocham ogniście i lada kupcówna nie zawróciłaby mi łba, to Bóg świadkiem... Hm—

ale to wam nie w smak panno Katarzyno—otóż słuchajcie—chcecie Antka mieć napowrót?

Kasia (z radością). Całą duszą.

Wojtek. No to trza mnie słuchać co do joty. Musicie się we mnie kochać.

Kasia (z gniewem). Proszę sobie żartów nie stroić.

Wojtek (smutnie). Toć mnie z panną Kasią o tem nawet i żartować nie wolno! Ale nie bój się panna Kasia—trzeba tylko udawać.

Kasia. Co udawać?

Wojtek. Miłość.

Kasia. Do kogo?

Wojtek. Do mnie. Trzeba się umizgać i zerkać na mnie oczkiem. Wy kobiety przecie to dobrze umiecie. Nie zawadzi od czasu do czasu ścisnąć mi nawet rękę...

Kasia. Na cóż to?

Wojtek. Zaraz dokończę. Można nawet ścisnąć mocno...

Kasia. Na cóż „mocno"?

Wojtek. Bo słabo nic nie warto. Trzeba żeby to wszystko widział Antek.

Kasia (zakrywając oczy). Zgorzałabym ze wstydu.

Wojtek. Trzeba koniecznie—przecie to tylko będzie przy nim.

Kasia. A cóż z tego za koniec?

Wojtek. Koniec taki, że Antek wróci znowu do panny Kasi; ja go znam—teraz mu tego nie żal, czego mu nikt nie zabiera, ale jak będzie widział, że mu na dobre biorą dziewczynę, którą on jeszcze dziś kocha...

Kasia. Kocha!!

Wojtek. To czemprędzej padnie wam plackiem do nóg. Panienka wtedy niech go nie słucha...



Głośno płacze — Wojtek staje we drzwiach,—(str. 76, szp. 2).
(Rysował Rudzki. — Wyciął na drzewie Regulski).

Kasia. Ależ dla czego?..

Wojtek. Tak trza koniecznie. Nie od razu mu przebaczać, trzymać go z daleka, nieprzymierzając jak mnie panno Kasiu trzymacie. Niech czuje co stracił. Jak mu się nie dacie zbliżyć, to porzuci kupcównę i wszystkie złote marzenia, a będzie znów chciał panny majstrzanki...

Kasia (podając mu rękę). Poczciwy panie Wojciechu!

Wojtek (kiwając smutnie głową). Cóż z tego, żem poczciwy. Poczciwym najgorzéj na świecie, a urwipołciom—(uśmiechając się) no—nie mówię tego dokumentnie do Antka, to wszystko idzie jak z płatka... (patrząc się na Kasię) panny ich kochają, szaleją, płaczą za nimi...

Kasia (zatykając mu ręką usta). Cicho gaduło!

Zasłona spada.

(Dokończenie nastąpi).

PODRÓŻ w TATRY.

*(Ciąg dalszy.—*Patrz Nr. 3, 4, 5, 6, 8 i 9).

VII.

MORSKIE OKO.

Mieliśmy w naszem towarzystwie jednego eleganta, któremu góry wcale do smaku nie przypadły. On się spodziewał w górach czegoś nadzwyczajnego, a tu kamienie, drzewa, woda i nic więcéj. Toż samo można znaleść w mieście, a z większą wygodą, bo i kamienie w piękny chodnik ułożone i drzewa porządniéj ustawione i woda nie rozlewa się tak nieprzyzwoicie. Bo co mi to za przyjemność (mawiał) podrzeć odzież i obuwie, przemoczyć nogi, przepocić koszulę, pomiąć kołnierzyki i poburzyć sobie fryzurę, po to, żeby się wdrapać na jaką wysokość, z któréj nic nie widać, chyba trochę więcéj ziemi. Ależ jeżeli o ziemię idzie, to wolę się przejechać koleją, a wtedy w krótkim czasie daleko większe obszary ziemi zobaczyć można. A jakie przytem niewygody, przykrości, fe. Ani tu porządnéj restauracji, ani wygodnego mieszkania. Prawdziwie góry są dla dzikich ludzi stworzone. A jaki lud nieznośny, grubijański! Mam po tyle góry.

Co się tyczy téj ostatniéj skargi mego towarzysza na lud górski, muszę tu zrobić uwagę, że takowe było jak najzupełniéj uzasadnione.— Towarzysz nasz bowiem miał upodobanie poetyczne błądzić przy świetle księżyca. W śród tych wycieczek musiał mieć niepoetyczną przygodę bo raz, gdy wrócił, był w bardzo kwaśnym humorze, a towarzysze dostrzegli na jednéj stronie policzka znaki podobne do niedokładnéj fotografji pięciu palców i trzech pierścionków. Do kogo te palce należały, jakim sposobem znalazły się na policzku eleganta — nie wiem.

Te i inne powody, tak odstraszyły naszego towarzysza od następnéj wyprawy, że go żadną miarą nie można było namówić.

Jeżeli który z czytelników podziela zapatrywanie się na naturę naszego eleganta, niech także zostanie z nim i nie czyta dalszego opisu; ale resztę najuprzejmiéj zapraszam, a nawet płeć piękną. Droga bowiem po papierze nie będzie nużąca. Wszystkie przykrości Tatrzańskich wycieczek, wszystkie kolce, kamienie, rozmokłe drogi, autor dla siebie zachował, a wam czytelnicy wyściela drogę pięknéj natury opisami, powiastkami ludu i t. d.; więc chodźcie, bez strachu. Ale, jeżeli macie żołądki równie wymagające, jak moi towarzysze, to wstrzymajcie się jeszcze chwilkę, aż dosmażę kotletów na tę wyprawę. Autor na chwilę przemieni się w kucharza. Oto

właśnie zastajecie mnie przy kominie dorzucającego masła na patelnię, na której smażą się kotlety, a poczciwa Tereska pomaga mi, uczy mnie i śmieje się naprzemiany z mojéj niezręczności, a ja osmolony, opieczony od ognia, uwijam się jak mogę, solę, kosztuję, a dla odmiany czasem zaśpiewam — nieraz się zadumam i zapłaczę nawet. — Kotlety zaczęły skwierczeć, zapach rozszedł się po izbie i po sieni. Moi towarzysze poczuli i po jednemu co chwila przybiegali, a każdy wołał:

— A co? dobre? — daj skosztować.

I jak zaczęli kosztować, tak wnet na patelni tylko okruchy bułeczki zostały, więc odpędziłem natrętników od patelni, i sam ochotnie zabrałem się na nowo do roboty.

Na drugi dzień równo ze świtem wyruszyliśmy w drogę, każdy w torebce niósł dowody mych kuchennych zdolności t. j. po kilka kotletów; oprócz tego chléb, kiełbasy i wódka stanowiły zapasy na całą wyprawę do Rybiego, którą chcieliśmy odbyć nie zwyczajną drogę kołując na Bukowinę, ale przez góry — przez Gąsienicowe stawy, Zamarzłe jezioro, Zawral, dolinę pięciu stawów. Ranek był chłodny, każdy więc pocałował swoją flaszkę i ruszyliśmy w drogę. Nie będę was nudził opisem drogi całéj, lubo dla nas miała ona wielki urok. Droga prowadziła świerkowym lasem, na drzewach wisiała rosa, żywiczny zapach przepełniał powietrze, żółte promienie słońca ukosem wdarły się w zielone falbany świerków, ptastwo przebudzone trzepotało się po krzakach śpiewając, wdali szumiał Dunajec, brzęczały dzwonki jałówek. Czasem pastuchy z różnych stron zakrzyczeli piosnki, a echa jak dwie pustotne dziewczyny goniły się po lesie, aż zmęczone upadały gdzieś daleko pod skałą. Szeroko mógłbym opisywać tu, tę piękność letniego poranka, czystość nieba, lekkość białych obłoczków, co jak wianki białych róż płyną, ale że tylu już o tem pisało i nie każdy z czytelników lubi te sielanki, więc je pomijam, pomijam przejście nasze przez Hamry, Magierę, a postawię czytelnika u pierwszego stawu Gąsienicowego. Staw ten o wiele mniejszy od Morskiego oka, ale większe na mnie zrobił wrażenie, niż tamto; raz dlatego, że to pierwszy raz taką przestrzeń wody spokojnéj zobaczyłem w górach, powtóre, że nie zbyt wysokie wzgórza otaczają ten staw, przez co wielkość jego rośnie, a w końcu dla tego, że o Morskiem oku tyle słyszałem, tyle sobie wyobrażałem, więc nie dziw, że rzeczywistość mnie nie zadowoliła.

Staliśmy więc na brzegu stawu — woda czysta tęczowała od różnych kamieni na brzegu, dalej kolor jéj przemieniał się w ciemno-szafirowy, a nawet w zielony. Lekki wiatr przelatywał po wodzie i marszczył ją, że wyglądała powierzchnia wody, jak kryształ karbowany. Nie wiem jak długo bylibyśmy tak stali zagapieni, aż jeden, który zarazem był naszym przewodnikiem, odezwał się:

— Ho, daléj, daléj, bo duża jeszcze droga przed nami.

— Ależ, bój się Boga, toż trzeba spocząć — zauważył okrągły Jaś — a i przekąsić nieco, bo z głodu pomrzemy.

Projekt przypadł wszystkim do smaku, zajrzeliśmy do torebek i z wilczym apetytem spożyliśmy całe nasze zapasy. Próżno rozsądek radził zostawić coś na póżniéj, bo w górach niczego nie dostaniemy; żołądek słuchać nie chciał i o 9-téj godzinie z rana torby nasze były już zupełnie próżne. Poczem poczęliśmy wychodzić ku Zamarzłemu.

Jestto może najdziksza ustroń w Tatrach — wszelkie życie tu ustało i wymarło.

Skały w około jeziora nagie, żółtawe, ułożyły się niby amfiteatralne ławy, a na nich zamiast widzów, białe płachty śniegu. W środkn tego amfiteatru, leży jeziorko koło-brzegów do połowy zamarzłe i ztąd jego nazwa. Groźno, cicho, martwo tutaj, i ani przelatujący ptak nie ożywi téj pustyni granitowéj, chyba wąż piorunowy z czarnéj chmury wyleci wśród burzy i prześlizgnie się po tych skałach. Nie długo zatrzymaliśmy się tam i poczęliśmy wchodzić na Zawral, który kończąc się u góry w kształcie mocno wgłębionego siodła, stanowił granicę między Gąsienicowemi stawami, a doliną „Pięciu stawów.” Wejście na Zawral było nadzwyczaj przykre; trzeba było piąć się po granitowem rozsypisku i gruzie, który co chwila z pod nóg się usuwał. Radziliśmy więc sobie w ten sposób, żeśmy się chwytali większych głazów, sterczących z gruzów, i tym sposobem chronili się od upadku na dół. Zdarzyło mi się jednak, że chwytając się jednego kamienia, czułem, że ten słabo osadzony w gruzie poruszył się i zwalił mi się na piersi. Szczęściem, że prawą nogą oparłem się silnie, i kamień chwilkę utrzymując na sobie, zawołałem na towarzyszów za mną idących, aby się usunęli, a tymczasem oczami szukałem innego kamienia, któregobym się mógł uchwycić.

— No, już puszczam — krzyknąłem zmęczony.

— Jeszcze nie, jeszcze nie — zawołali koledzy...

Ale już nie czas było; skoczyłem wbok, a kamień potoczył się na dół. Obejrzałem się za nim i struchlałem. Kamień toczył się wprost na jednego z naszych towarzyszy, który napróżno usiłował po ruchoméj pochyłości gruzów zejść na bok. Zatrzymałem oddech w piersiach z przerażenia, kamień co tylko miał zgruchotać go; gdy w tem uderza o inny kamień, niby o próg, podskoczył w górę jak piłka i przeskoczywszy nad głową naszego towarzysza, rzucił się wbok i stoczył się w przepaść z niezmiernym hukiem i łoskotem. Zapach siarki rozszedł się, od tarcia granitów. Odetchnąłem wolniéj i drapałem się znów daléj; ale wypadek powyższy odjął nam wszystkim humor i ochotę do rozmowy; każdy milcząc wdrapywał się, a co chwila poglądał, jak daleko jeszcze do wierzchu. Aż w końcu stanęliśmy na górze i odetchnąwszy wolniéj, poczęliśmy nawzajem rozpowiadać sobie swoje obawy.

— Słusznie mówił Krzeptowski [1]) odezwał się jeden — że to najniebezpieczniejsze, a przynajmniéj najuciążliwsze przejście w Tatrach. Przeszłego roku dwóch podróżnych zsunęło się tu i byliby wpadli w przepaść, gdyby ich przewodnik silną dłonią nie schwycił.

— Ale też za to jaki ztąd widok! — zawołał inny.

Spojrzeliśmy za siebie i wierzchołki Tatrów jak podniesione fale skamieniałego morza piętrzyły się; za łańcuchem skał w głębi krajobrazu podnosił się ostrokręg Krywania. I wśród tych śpiących olbrzymów, my jak drobne robactwo, co na ich szczyty wypełzało, rośniemy ich wielkością, podnosimy się ich wysokością.

— Dziko tu, ale pięknie — zawołał jeden.

— I cóż mi z piękności, kiedym djabelnie gło-

[1]) Krzeptowski, jeden z najtęższych i najlepszych przewodników w Tatrach.

dny, — rzekł okrągły Jaś, zaglądając do próżnéj torebki. Tu nam widzę przyjdzie umrzeć śmiercią głodową. Wiecie co? wróćmy się.

Nie zgodzono się tą razą na jego wniosek, wszyscy lubo również głodni, postanowili iść daléj, obiecując sobie, że się w najbliższym szałasie pożywią. Spuściliśmy się więc na dół, a w téj wędrówce ostatek wódki wylał się. Do tego przewodnik nasz pomylił sobie drogę, i wprowadził nas między rozłamy kamieni, po których jak kozy skakać musieliśmy, co się także nie mało przyczyniło do powiększenia apetytu. Z radosnym więc okrzykiem powitaliśmy szałas w dolinie Pięciu Stawów, utworzony nie z drzewa, jak gdzieindziéj, ale z kamieni. Na całéj bowiem przestrzeni, ani kawałka drzewa, wyjąwszy kozodrzewiny, a dowóz drzewa na tę wysokość niepodobny. Wpadliśmy do szałasu wołając: jeść, pić. Roześmieli się i rzekli:

— Zle panoczkowie trafili — przed południem posłaliśmy wszystkie sery do wsi.

— A żentyca?

— Owce aż na wieczór podojemy.

— Ja tu umrę i daléj nie pójdę — zawołał Jaś pół żartem i pół z rozpaczą.

— Więc zostańmy i czekajmy na wieczorny podój.

— Nie chcę, nie chcę — idźmy, rzekł wstając pospiesznie.

Poszliszmy więc wzdłuż stawów, które jak ogromne zwierciadła, stały w ramach nagich skał.

Z ostatniego stawu wypływa rzeka Siklawa, która w pewnéj odległości spadając w przepaść na kilkadziesiąt łokci, tworzy piękny wodospad. Zeszliśmy umyślnie na dół, aby się ztamtąd przypatrzeć spadkowi niebieskiéj wody, rozbijającéj się po skałach w białą pianę i spadającéj w głębiny wśród skał szumiące. Nie widziałem sławnego wodospadu Reńskiego — dla tego nasz karpacki wielkie na mnie uczynił wrażenie. Ten szalony pęd wody po skałach, szum i huk, ta biała piana pryskająca w górę, te gwałtowne rzuty wody w załomach skały, przerażają i nęcą zarazem. Rzuciłem w głębinę kamień i nadstawiwszy ucha podsłuchiwałem długo, jak wody rzucały nim po skałach i w końcu zataiły go w swoich głębiach. Siklawa wpada w wąwóz, którego oba boki są nadzwyczaj wysokie i dzikie. Wróciliśmy na górę, aby grzbietem jednéj takiéj ściany wąwozu po prawéj stronie, przejść ku Morskiemu Oku.

Pyrć (ścieżka) prowadziła nas spadzistym stokiem góry nad przepaścią i potem przeszedłszy grzbiet góry, spuszczała się na dół, i znowu kilka razy podnosząc się i opadając naprzemiany, wprowadziła nas w kotlinę, w któréj leży Morskie Oko. Stanęliśmy więc przed wieczorem u celu podróży. Słońce zachodzące, złociło skały sterczące nad stawem, a szczególniéj Mnicha, ową górę, którą podania ludowe ożywiły. Morskie oko było nierównie większe, niż wszystkie poprzednie stawy; ale ogrom jego znika w obec ogromu skał go otaczających; dla tego wrażenie doznane, nie odpowiedziało memu oczekiwaniu, tak dalece, że mnie już nawet chęć odbiegła, płynąć tratwą do Czarnego stawu, leżącego o 500 stóp po nad morskiem okiem, zwłaszcza, że już zmrok padał na okolicę. Niebo poczynało się chmurzyć; spokojne wody jeziora zmarszczyły się; wiatr w coraz to większe fale je rozkołysał, aż w końcu na dobre się rozhulały wody, i tłuc się poczęły o skały i burzyć się i szumieć. Wtedy dopiero, gdy się rozgniewało jezioro, poczułem jego wielkość i piękność. To już nie była ta cicha służka, co spokojna, gładka, przypadła do nóg górom, całując ich stopy, ale dziki zwierz, co najeża grzywę i ryczy i rzuca się w klatce, tłucze piersiami o zapory. Długo przypatrywałem się z zadowoleniem téj burzy żywiołów, aż deszcz zmusił mnie wejść do szałasu, stojącego nad brzegiem stawu. Towarzysze naznosili cetyn (gałązek) i nanieciliśmy ogień, a w około ognia pokładliśmy się na ziemi, mając za poduszki próżne torebki nasze.

Jeszcze ciemno było, gdy nas zbudził Jaś.

— Na Boga, wstawajcie!

— Cóż się stało? spytało kilku przestraszonych.

— Jeść mi się chce, nie mogę wytrzymać. Lećmy co tchu do jakiéj wioski, bo umrę.

— Śniło mi się, żem był na obiedzie u Ziembińskiego, że jadłem obiad z dwudziestu potraw — budzę się, a tu pustki w brzuchu. Na Boga wstawajcie i chodźmy.

— Może dostaniemy mleka w poblizkim szałasie?

— Co mi mleko, co mi mleko, chodźmy do wsi. Która tu najbliższa?

— Bukowina.

— A więc do Bukowiny, do Bukowiny!

Zerwaliśmy się, bo każdy z nas po całodniowym poście i trudzącym marszu, równą pałał chęcią spotkania się z jakiem jedzeniem. Ruszyliśmy w drogę ze śpiewem, każdy głos miał śliczny, czysty, co było najlepszym dowodem, żeśmy byli głodni. Szliśmy jak ten żołnierz w piosence gminnéj, co to „idzie górą, lasem—przymierając głodu czasem.” Jaś ciągle narzekał, czasem zmęczony upadał na trawę, mówiąc: „tu zostanę, ztąd się nie ruszę, tu umrę, tu mnie pochowajcie;” ale widząc, że nikt nie zostaje z nim, aby go przyzwoicie pochować w razie śmierci, zrywał się i leciał za nami. Próżno śliczny ranek wdzięczył się do nas wszystkiemi wdziękami; szliśmy niepatrząc, niesłuchając, a spotykanych po drodze górali pytaliśmy:

— A daleko tu do Bukowiny?

— Ej nie precz (niedaleko) panoczu, haju za góreczką.

Minęliśmy jedną, drugą i dziesiątą górę, a Bukowiny nie widać i nie widać.

— Wiecie wy, może my zmylili drogę i zajdziemy w końcu do téj Bukowiny, co za Lwowem leży—rzekł Jaś z arcytragiczną miną.

Spotykamy znowu jakiegoś górala.

— A daleko jeszcze do Bukowiny?—spytał Jaś łapiąc go rozpacznie za rękę. Góral się zląkł tego napadu, cofnął się i rzekł:

— Eh, nie precz panoczku, haj za góreczką.

— Za którą?

— Za góreczką.

— Bodaj was licho wzięło z waszem „nie precz”— rzekł puszczając górala. Nagle zawrócił ku niemu.

— Słuchajno—nie masz przy sobie chleba?

— Je, zkądbyk wziął.

— To idź do licha.

— Idźcie z panem Jezusem, ale ostróżnie bez las, bo się tam niedźwiedź kręci. Wczoraj juhasy spłoszyli go z legowiska.

— Co niedźwiedź?—A wiecie co—rzekł obracając się do nas—coby to za doskonała była rzecz zjeść niedźwiedzia.

— Prawda—rzekł mu drugi—szkoda, że pieczone niedźwiedzie nie chodzą po lasach. Rozśmialiśmy się i ruszyli w drogę. Nagle jeden z towarzyszów,

który szedł naprzód, krzyknął: Bukowina, Bukowina, a my za nim powtórzyli: Bukowina, Bukowina! Takim głosem, musieli wołać towarzysze Kolumba: Ziemia, ziemia! Jak usilnie usta nasze, pracowały potem w karczmie Bukowińskiéj, nie mogą już rzeczy opisywać. Niech wam to godniéj opisze brodaty właściciel karczmy, który przy odjezdnem podał nam następujący rachunek: (Przypominam, że nas było pięciu).

	fl.	kr.
Dwa bochenki chleba	—	60.
Masło	—	40.
Wódka	—	75.
6 kwart mleka . .	1	20.
2 kopy jaj	1	20.
Kiełbasa.	—	30.
Razem	4	40.

Aaron Pinkies.

(*D. n.*)

ROZMAITOŚCI.

— Ileż to razy, wśród ostréj zimowéj pory, gdy mróz ściska, lub szaruga do szpiku kości przejmuje — sztuka do niezamożnych drzwi waszych, drodzy czytelnicy, ubogi ledwo odziany brat, z prośbą o pomoc?

— Wracam ze szpitala! jestem biednym wyrobnikiem! Nie mam sił jeszcze, aby zapracować na kawałek chleba dla siebie, dla żony i dzieci! woła nieszczęsny.

Czyż odtrącicie tę dłoń trzęsącą się, wychudłą po niedawnéj chorobie? O nie! niezamożny biednemu łatwo uwierzy, że głodny—że potrzebny. Lecz wasz datek choć serdeczny, nie ogrzeje skostniałych członków biednego chorego, grosz nie da ciepłéj i pożywnéj strawy, którąby przywróciła siły i postawiła wyrobnika lub rzemieślnika w możności pracowania. On z modlitwą i dziękczynieniem na ustach powlecze się daléj.... a może zapuka do drzwi mniéj gościnnych. Choroba powróci na nowo, a recydywa jest zabijającą. Po cóż wyszedł ze szpitala zapytacie? Dlaczego go puszczono? Odpowiedź łatwa i prosta: szpitale nasze są szczupłe, ich fundusze niewielkie — a w ogóle wystarczają zaledwo dla chorych. Kto zdrowszy, niech szuka przytułku w domu, niech ustąpi miejsca tym, którzy są chorzy. Za granicą po wielkich szpitalach, gdzie jest dostatek wszystkiego, inne jest nieco urządzenie. Tam chory przychodzący do zdrowia, nieopuszcza zaraz szpitala, ale z sal gdzie leżał, przechodzi do sal tak zwanych *dla rekonwalescentów*. Są to widne, suche, dogodne i czyste salony, oddzielne na dzień, oddzielne do sypiania, w których przebywają przychodzący do zdrowia, na dobrym i pożywnym stole trzymani. Nam brakuje takich domów dla przychodzących do zdrowia, a są potrzebniejsze w naszym klimacie i dla naszego ubóstwa, niż gdzieindziéj. Dobrą więc zwiastować wam możemy nowinę, iż zmarła niedawno hr. Rozalia Rzewuska, między innemi zapisami testamentowemi, wyznaczyła blizko 150,000 złp. jako fundusz żelazny, na założenie i utrzymanie sali rekonwalescentów przy szpitalu Dzieciątka Jezus w Warszawie. Piękna myśl, nie prędko jednak przyjdzie do skutku, gdyż na téj summie opierają się dożywocia licznych sług zmarłéj hrabiny. Świat niezamożnych Warszawian, dar ten jednak wdzięcznem sercem przyjmuje, a może myśl w tym kierunku pobudzona skłoni kogo z bogatszych do szybszego zaradzenia téj potrzebie, co będzie prawdziwym groszem wdowim umieszczonym na lichwę.

— Lecz nie tylko w chorobie przychodzi nędza na ubogich pracowników zarabiających własnemi dłońmi na życie. Starość, ten wiek wzbudzający szacunek, wiek godzien spoczynku i nagrody za trudy — jest często złowróżbnem widmem niepokającem sny tak twarde jak po pracy! Bo starość przynosi zwątlenie sił, choroby, niemożność zarabiania, nędze, gorzki chleb łaskawy, lub torbę i kij żebraczy, od których Boże uchowaj każdego. Kto posiada majątek, ten ma zabezpieczone dni starości — urzędnik dostaje wysłużoną emeryturę — ale ja mój czytelniku literat i ty pracownik, za pługiem czy za warsztatem, jakież mamy widoki na starość? Ot jedyna ucieczka zabezpieczyć się wzajemnie opłatą niewielkiéj, ale ciągle wnoszonéj składki. Kto doczeka szczęśliwie, niech używa w spokoju skromnéj pensyjki lub ciepłego kąta. Lecz mniejsza o siebie, ale jaki nam ciężar ciśnie piersi, gdy pomyślim, iż po naszéj śmierci przedwczesnéj żona, wierna towarzyszka pracy, niewinne dziatki, zostaną bez opieki, bez pomocy! O jakaż błogość, jakie wesele wstępuje do serca, ile ochoty zyskujemy do pracy, widząc, że tak nie będzie, że znajdzie się skromny, ale pewny i nie jałmużną rzucony fundusz do życia, do wychowania dziatek. Taką błogą pewność dać może tylko stowarzyszenie wzajemnéj pomocy i emerytury dla wdów i sierot. Piękny tego przykład dają już nietylko cudzoziemcy, ale i Galicyjscy rzemieślnicy. Towarzystwo rzemieślnicze we Lwowie, zawiązane przed 4 laty, a liczące obecnie 250 członków i rozporządzające zebranym ze składek kapitałem 20,000 złp., rozwijając się ciągle, postanowiło utworzyć osobny fundusz zabezpieczenia się wzajemnego dla wdów i sierot, po umarłych rzemieślnikach. Zasady bardzo proste. Kto chce być członkiem i korzystać z dobrodziejstwa, składa jednorazowo 20 złp., tytułem wpisowego, a następnie zobowiązuje się do wnoszenia drobnéj summy tygodniowo, stosownie do wieku osoby przystępującéj. Kto jest przed 35 rokiem życia, ten wnosi tylko 15 groszy na tydzień. Wypłata pensji ma się rozpocząć po trzech latach od chwili zawiązania, a fundusze złożone przeznaczane będą na utworzenie kapitału żelaznego, zapasowego; na tenże cel obrócone będą $^{2}/_{3}$ funduszów wpływających przez lat następnych 10, a $^{1}/_{3}$ po ich upływie. Sieroty pobierać mają pensje emerytalne, aż do lat 14; wdowy dożywotnio, jeżeli nie wstąpią w inne związki małżeńskie.



Morskie oko.—(Rysował Kozarski—wyciął na drzewie Stifi).

— W miesiącu Styczniu r. b. zmarły w Warszawie dwie osoby, mające więcéj niż 100 lat, mianowicie: Graf Ludwika lat 103 i starozakonny Feld Herstet liczący lat 106.

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.—Dnia 24 Lutego (8 Marca) 1865 r.